

prof. dr hab. JAROSŁAW ŁAWSKI

Członek PAU

Uniwersytet w Białymstoku

„MAŁE” UCZELNIE JAKO STRATEGICZNE CENTRA: PRZYPADEK HUMANISTYKI

Eksperymentomania¹

Nigdy nie sądziłem, że jako osobie pracującej w Białymstoku przyjdzie mu kiedykolwiek występować w obronie tzw. małych, mniejszych, prowincjonalnych uczelni. Potrzeba ich istnienia wydawała mi się tak naturalna, jak potrzeba posiadania przez zdrowy organizm człowieka nie tylko serca i mózgu, lecz też innych organów. Zresztą zamieszanie terminologiczne, z jakim mamy do czynienia, mówiąc o ośrodkach w takich miastach, jak Szczecin, Zielona Góra, Opole, Rzeszów, Lublin, Kielce, Częstochowa, Bydgoszcz, Olsztyn (i inne), jest zastanawiające!

Cóż tu bowiem bierzemy pod uwagę mówiąc, iż coś jest „małe”/”mniejsze”? Wielkość miasta, otoczenia społecznego? Infrastrukturę uczelni? A może liczebność kadry? Liczbę studentów? Dorobek? O kim myślimy, przekonując innych, że ktoś pracuje w uczelni „prowincjonalnej”? W rdzeniowym, rudymentarnym znaczeniu powinno to znaczyć: położony w jednej z prowincji

¹ Słowo „eksperymentomania” pożyczam od pisarza polsko-litewskiego Józefa Albina Herbaczewskiego (Jozuasa Albinasa Herbačiauskasa), który użył go w polskim esejie do opisu estetycznych eksperymentów Wyspiańskiego. Tegoż, *Eksperymentomania, czyli neo-hamletyzm* (Stanisław Wyspiański), w: *I nie wódz nas na pokuszenie... Szkicowane wizerunki dusz współcześnie wybitnych na tle myśli dziejowej*, Kraków 1911, s. 203.

państwa, które jest niepodzielną całością. Tymczasem przymiotnik *prowin-
cjonalny* – szczególnie w ustach przedstawicieli elit stołeczno-wielkomiej-
skich – uruchamia jednoznaczny sygnał wartościujący: prowincjonalny to
„mały”, „gorszy”, ale też „podległy”. Te same sfery stołeczno-wielkomiejskie –
o czym same bezustannie przekonują, propagując ideę kolejnych „reform”
nauki – wypadają na tle światowym właśnie jako ośrodki małe, maleńkie,
gorsze, po prostu drugorzędne. Są więc w skali światowej, w negatywnym
sensie prowincjonalne, choć tyłu tam światowych pracuje uczonych... Inna
rzecz, że narzędzie, jakim się posługują propagatorzy „uświatowienia”, czyli
tzw. rankingi uczelni, samo jest nonsensem, do tego nonsensem politycznie
instrumentalizowanym, zideologizowanym.

Czyżby ludzkość chciała mieć tylko 500 „najwyżej notowanych uniwersy-
tetów”? I to wystarczy? A – paralelnie – Polska dwie, trzy duże uczelnie noto-
wane w tych „rankingach”? Nikt przy zdrowych zmysłach nie wysunie takiej
myśli, patrząc i na mapy świata, i na mapy naszego kraju. Ani małe nie jest
gorsze, ani wielkie, policzone „naukometrycznie” nie jest wielkie w znacze-
niu trwałości wkładu w naukę. Bycie „wysoko w rankingach” nie może być
celem wszystkich innych.

Do czego zmierzam? Do opisu „reformatorskiej” pasji: eksperymentoma-
nii dzisiejszej.

Najpierw jednak kilka zastrzeżeń: nie reprezentuję humanistycznego
ośrodka prowincjonalnego, który ma kompleksy. Raczej środowisko, które
odniosło sukces. Sam też jestem jako pięćdziesięciolatek od dawna po po-
konaniu wszelkich progów awansu. Występowałem w roli eksperta ministe-
rialnego, kierownika dużych grantów etc. Istotą mojej aktywności jest od lat
współpraca międzynarodowa (i powołana w celu jej prowadzenia Katedra
Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” na Wydziale Filologicznym
Uniwersytetu w Białymstoku). Zastrzegam, że chcę mówić tylko o poletku
nauk humanistycznych, które znam. I we własnym li tylko imieniu. Nie jest
to więc głos frustrata z niedoinwestowanej „małej” placówki „na prowincji”,
lecz raczej głos kogoś, kto na sprawy polskie stara się patrzeć z szerszego
punktu widzenia: międzynarodowego.

Nim odpowiem na pytanie: po co nam „małe” uczelnie, kilka zastrzeżeń.

Po pierwsze, zmieńmy język, którym o tym mówimy. Przestańmy posłu-
giwać się językiem panów i podległych, wielkich i małych, centralnych i pro-
wincjonalnych. Zastąpmy go językiem, który w humanistyce jest jedynie do-
puszczalny: twórcze i nietwórcze, nowatorskie (odkrywcze) i nienowatorskie
(nieodkrywcze), dobre i przeciętne, byle jakie.

Po wtóre, przestańmy zakłamywać rzeczywistość, mówiąc że całe uniwersytety, akademie, ośrodki są dobre i złe. W humanistyce liczą się mało ośrodki (katedry, zakłady), a najczęściej pojedynczy ludzie z nowatorską myślą i energią. Czasem powołują oni zespoły, czasem pracują samotnie. Na każdej uczelni, czy to z Krakowa czy z Zielonej Góry, czy z Gdańska czy z Torunia lub Białegostoku, są osobowości, wybitne ośrodki. A wszędzie są przeciętne, a nawet słabe: wydziały, instytuty, katedry, zakłady. Sztuką jest wyławianie i tworzenie warunków do spokojnej, planowej pracy tym najlepszym.

Trzecie zastrzeżenie: nie fetyszyzujmy czasu. Czasu jako kryterium służącego do oceny badań. W humanistyce zalecenia obecnej „ewaluacji” (4 wysoko punktowane publikacje na 4 lata) niektórzy wypełniają w pół roku. Innym trzeba 8 lat, by dojść do rzeczywistych, a nie wymuszonych przez nową formę „punktową” wyników. Obecnie proponowany system „ewaluacji” (w którą pozornie przeobraziła się „parametryzacja”) w sposób zastraszający promuje „naukometryczne” przeciętniactwo i fikcję naukową. Nie sztuką w humanistyce jest ogłosić 4 publikacje wysoko punktowane, sztuką jest ogłosić 1 ważną, przełomową, cenną. Jedni – i tak chciała matka natura, a nie ministerstwo – ogłaszają rzeczy ważne raz w roku, inni raz w życiu. Tu nie ma „wymierzalności”. Skądinąd istnieją zupełnie proste sposoby wyławiania osób nienadających się do pracy w naukach humanistycznych lub leniwych. Nie trzeba do tego zatrudniać firm, programów, „punktomanii”, „scopusoizacji” i tym podobnych wytworów biznesu naukowego.

Po czwarte, mówiąc o reformie nauki, pamiętajmy, że nie dokona się ona nigdy i nie rozwinie, jeśli nie obejmie centrum decyzyjnego: ministerstwa. A kiedy była tam reforma?

Przyjąwszy te zastrzeżenia, chcę powiedzieć, że chodzi mi o uczelnie dobre, uczonych twórczych, „wytwarzających” potrzebne społeczeństwu i światu „produkty” pracy humanistycznej: idee, edycje, analizy i interpretacje, monograficzne ujęcia dziejów różnych aspektów ludzkiej kultury.

Otóż w takim ujęciu Polska w szczególności potrzebuje po prostu sieci dobrych ośrodków położonych w każdej części państwa. To znaczy, że powinny w niej też dla dobra wszystkich innych ośrodków świetnie funkcjonować ośrodki położone w centrum, umocowane w długo trwającej tradycji uniwersyteckiej (to samo w sobie jest arcywartością!), promieniujące tą tradycją i wzorcotwórczo ją pielęgnujące. To powinno działać się dla dobra wszystkich. Że myślę tu nade wszystko o Krakowie i Warszawie, nie trzeba dodawać. Ale to też znaczy, że nie możemy od tych ośrodków żądać,

by zasilone „strumieniem pieniądza” we wszystkich swych częściach przodo-
wały w świecie, Europie, a nawet w Polsce. (Piszę, przypomnę, tylko o humani-
styce.) Żądać tego od nich to nielicząca się nawet z prawami logiki fanaberia
(nie użyję słowa *utopia*), iluzja, fantazja.

Talenty są tam, gdzie się rodzą. A rozkwitają tam, gdzie znajdują po temu
warunki. Czyli: rodzą się wszędzie (a nie tylko w Krakowie czy Poznaniu),
zaś rozwijają się naukowo tam, gdzie mają taką szansę (czyli na przykład
w Opolu, Siedlcach, Olsztynie, Szczecinie). Nic tu nie pomogą ministerialne
rozporządzenia, by wszyscy utalentowani humanistycznie ludzie „produko-
wali się” (zeszliśmy na ten poziom języka) w Warszawie lub innym ośrodku.

Po pierwsze, nie ma tam dla nich wszystkich miejsca, nie dostaną tam pro-
fesur, katedr, nie zbudują zespołów. Po drugie, nie ma potrzeby, by wszyscy
skupiali się w kilku ośrodkach, a ci którzy tam nie trafiają, trwonili swe talenty
poza naukę. To szkodliwe dla kultury i państwa. Dlaczegoż?

Twórcy kolejnych „reform” przyjmują, niestety, krótki horyzont myśle-
nia o państwie, społeczeństwie, wspólnocie narodowej. Efekt „reformy” spro-
wadza się najczęściej do krótkoterminowego „efektu wyborczego” – ogłasza-
my, że zreformowaliśmy to czy tamto, wyborcy mają nas zatem nagrodzić.
Interesy grup forsujących „reformy” są zazwyczaj jeszcze bardziej partyku-
larne: chcemy wreszcie pieniędzy, chcemy, by „nasi” ludzie rozdawali kar-
ty w nauce. Wszystkie te cele – przy niestabilności, rozwibrowaniu polityki
środkowoeuropejskiej – mogą oni osiągnąć co najwyżej na 8 lat (dwie
kadencje). A co potem? Reforma? Ale przecież po co reforma, skoro było już
tyle reform? Tego nie wiadomo.

Tymczasem nauki humanistyczne potrzebują – jest to chyba najczęściej
powtarzane do elit politycznych w Europie Środkowo-Wschodniej pragnienie
i żądanie – s p o k o j u . Potrzebują epickiego oddechu i interpretacji zjawisk
dookolnych.

Miejsce na mapie

A Polska nie leży w >takim sobie< miejscu na mapie². Tymczasem wy-
dawać by się mogło, że w wyobrażeniach projektantów kolejnych „reform”
jesteśmy krajem istniejącym na wyspie położonej między Ameryką a Europą.
Albo państwem takim jak Belgia czy Luksemburg, wciśnięte między inne

² Zob. J. Bartosiak, *Rzeczpospolita między lądem a morzem. O wojnie i pokoju*, Warszawa 2018.

kraje UE. To straszliwe, groźne w konsekwencjach iluzje. Polska ma swoje miejsce na mapie między Zachodem i Europą Wschodnią. Jej los determinują burzliwe, właśnie trwające procesy za zachodzie Europy, ale jeszcze bardziej dramatyczne wydarzenia na jej wschodzie: w Rosji, Ukrainie, Białorusi, krajach bałtyckich, Zakaukaziu, Naddniestrzu, Mołdowie. Los państwa – i całej jego nauki, nie tylko humanistyki – zależy od właściwego gospodarowania potencjałem, rozpoznania geostrategicznych, geopolitycznych, kulturotwórczych i etnicznych zmian zachodzących właśnie za naszymi granicami. W tym: groźną granicą wschodnią.

Na ziemiach Rzeczypospolitej zachodzą te same procesy separatystycznej radykalizacji mniejszości etnicznych, które obserwujemy w Katalonii, na wschodniej Ukrainie, a nawet w sercu unijnej Belgii (Flamandowie *contra* Walonowie). Za wschodnią granicą państwa jest duża mniejszość polska: na Litwie, Białorusi, Łotwie, Ukrainie, w Rosji (tam też!). Wyobraźmy też sobie Polonię na świecie lub tylko problemy Polaków w Niemczech i Wielkiej Brytanii. I Polacy na świecie, i mniejszości ościennych krajów w Polsce mają swą kulturę, życie społeczne. Są też narzędziem polityki i geopolityki.

Wyobrażać sobie, że w Krakowie czy Warszawie rozkwitną badania nad kulturą białoruską, dziejami Prus Wschodnich (to dzisiejsze województwo warmińsko-mazurskie) lub historią Ziem Zachodnich – to skazywać się na coś, co nawet nie ma cech nikłego prawdopodobieństwa. Przyjąć hipotezę, że w Warszawie lub Krakowie lepiej znają wielotysięczne mniejszości białoruskie, ukraińskie, specyfikę kultury wielosetysięcznej społeczności prawosławnych obywateli Rzeczypospolitej (albo tylko kilkutysięcznej grupy Tatarów) niż w Białymstoku, Siedlcach czy Lublinie, to trudne do pojęcia. To samo można napisać o „ziemiach odzyskanych”, Śląsku, Warmii i Mazurach, Gdańsku. Oczywiście, ten czy ów przedstawiciel centrum może sądzić, że na co dzień lepiej współpracuje z Mińskiem czy Kijowem niż badacz obecny tam na stałe. Co więcej, twierdząc stanowczo, że powinny istnieć krakowskie, warszawskie, poznańskie centra bałtystyki, białorutenistyki, filologii wschodniosłowiańskiej etc. Potrzebne to jest samej nauce.

Lecz muszą być one nade wszystko na miejscu, w tych miejscach, gdzie państwo i społeczeństwo posiadają swoje strategiczne cele. Gdzie aspiracje kulturotwórcze chcą realizować na miejscu Polacy, ale też przedstawiciele mniejszości mieszkających w Polsce. Stąd łatwiej prowadzić współpracę z humanistami z Białorusi, krajów bałtyckich, Ukrainy czy Rosji po prostu dlatego, że „miejscowi” lepiej znają realia tych kultur – sami mieszkają często w wielonarodowym, wieloreligijnym i wielojęzycznym środowisku

(tak jest w Białymstoku, ale też Opolu, Olsztynie, Lublinie, Katowicach, Rzeszowie).

Jest więc w żywotnym interesie państwa i wspólnoty ją zamieszkującej, by cały kraj pokryty był siecią ośrodków uniwersyteckich. Jest to – czas po roku 2001 – co piszę ze smutkiem, jedna z najniespokojniejszych epok od czasów II wojny światowej (w skali geopolitycznej) i jedno z najbardziej niebezpiecznych, niespokojnych miejsc na mapie Europy i świata, o czym stale przypominają mi koledzy z Zachodu, Ameryki i Azji, których najbardziej – z różnych względów – interesuje zachodnie pogranicze imperium rosyjskiego, Federacji Rosyjskiej. Jest to po prostu wszystko, co leży na wschód od Rzeczypospolitej. Zabezpieczenie interesów całej kultury polskiej, a nie tylko kilku ośrodków, utrzymanie potencjału kulturowo-cywilizacyjnego (a więc i możliwości oddziaływania na Wschód i Zachód), zagospodarowanie talentów, a w sumie wzmocnienie państwa i społeczeństwa, możliwe jest tylko pod warunkiem równomiernego rozłożenia sił: budowania mocnych instytucji kultury, uniwersytetów, laboratoriów i bibliotek naukowych we wszystkich częściach kraju.

Życie iluzjami, że jakaś zmityzowana instytucja międzynarodowa czy pakt militarny będą wieczne i na zawsze zabezpieczą interesy naszej własnej organizacji państwowej i społeczeństwa kończą się zawsze tak samo.

Nie da się uciec z mapy, można z niej zniknąć. To drugie oznacza wymazanie przez innych. Wielu z tych „innych” z wdzięcznością przyjmie jednak fakt, że Polacy sami się sobą mądrze zaopiekują.

Jesteśmy wspólnotą o niskim poczuciu własnej wartości. Nie bez naiwności gonimy wyidealizowane fantazmaty i wyobrażenia: świat, Europę, Amerykę, Unię etc. Tymczasem Polacy i ich państwo – co sam obracając się w środowisku slawistów z całego świata widzę – są tak dużym fenomenem kulturowo-cywilizacyjnym, iż zainteresowanie nimi jest naturalne i niejako obowiązkowe we wszystkich szanujących się kulturach, naukach. Językiem polskim mówi przynajmniej 50 mln ludzi, choć nie znamy szacunków w pełni wiarygodnych dotyczących ludzi przyznających się do polskiego pochodzenia w krajach byłego ZSRR, gdzie trwają groźne procesy historyczne, a przyznawanie się do polskości może być niebezpieczne. Jest to jeden z 20 największych języków na Ziemi. Wiele postaci kultury, nauki polskiej, twórców historii jest powszechnie rozpoznawalnych w skali globalnej, a nie tylko europejskiej. Na tym tle wymachiwanie hasłem „nagrody Nobla” lub „miejsca w rankingu” jako bezlitosnym kryterium oceny całej nauki i kultury polskiej jest czymś groteskowym.

Niestety: jest też racjonalną kalkulacją obliczoną na realizację krótkoterminowego celu politycznego tego czy innego polityka, partii, frakcji itp.

Tak więc nie da się uciec z mapy. Można być z niej wymazanym. Miejsce, w którym jesteśmy (i tak przez wieki „przesuwane”, okrajane) zmusza do zabezpieczenia dóbr, którymi dysponujemy, w obliczu nieobliczalnych przełomów historycznych na Wschodzie i na Zachodzie. Rola nauk humanistycznych i społecznych jest tu pierwszorzędna. Cóż by było, gdyby Francja nie prowadziła polityki kulturowo-naukowej w Maroku i licznych krajach francuskojęzycznych poza swymi granicami? Węgry w Siedmiogrodzie i na Słowacji? Rosja na ogromnych obszarach od Tallina po Sofię, od Grodna do Odessy? A my chcemy zrezygnować ze wszystkiego w imię wymyślonej humanistyki światowo-rankingowej? Refleksja humanistyczna i społeczna wyrasta zawsze z konkretnego miejsca, człowieka, kultury. Ku nim też powraca.

Spójrzmy na mapę: Od przedmieść Warszawy do granicy białoruskiej powyżej Brześcia – 120 km (miasto to może się wkrótce wraz z całą Białorusią znaleźć w Rosji). Z Białegostoku do Grodna – 80 km (jedzie się 6 godzin). Z Olsztyna do granicy rosyjskiej – 85 km („trudna” granica). Z Krakowa do granicy Ukrainy w Medyce – 200 km (a w tym kraju wojna). Ze Słubic do Berlina – 81 km (a tam co będzie po zmianie politycznej?). Mapa i humanistyka mają w gruncie rzeczy wiele do przekazania. Trzeba tylko o nich myśleć nie w kategoriach drobnego interesu politycznego, lecz długiego trwania i *last but not least* ostatecznego przetrwania: kraju.

Co to jest „region”?

Istnieje ogromna ilość argumentów – czasem równie ważnych – za wspieraniem przez mądre państwo i jego elity polityczne sieci uniwersyteckiej. Sieć równomiernie rozłożonych ośrodków jednoznacznie przeciwstawiam iluzjotwórczemu centralizmowi (tylko w humanistyce, choć mam wątpliwości, czy centra międzynarodowe innych nauk istnieją poza mapą i geopolityką). Ośrodki tego rodzaju zabezpieczą przede wszystkim dziedzictwo regionalne.

Istnieje jakieś zasadnicze nieporozumienie dotyczące rozumienia terminów „region”, „regionalizm”. We współczesnym słowniku polskim dyskutujących o nauce znaczą one prowincjonalność, czyli negatywnie rozumiane zapóźnienie cywilizacyjno-kulturowe, degradujące oddalenie od wszechmocnych centrów, słowem gorszość wszelakiego rodzaju. Tymczasem „region” to rzeczywiście może być „prowincja” – w sensie terytorium o określonej wy-

razistej specyfice kulturowo-historyczno-cywilizacyjnej. Taki region istnieje w interakcji ze światem wokół niego – także pograniczem, przygraniczem i zagranicą³. Gołym okiem widać, że dziś największe problemy w skali europejskiej, a nawet światowej generują nie całe państwa, a ich „specyficzne” regiony: Quebec, Szkocja, Katalonia, Kraj Basków, Flandria, Siedmiogród, Naddniestrze, słowem wszelkie regiony zamieszkałe przez mniejszości. Nie wspomnę już o bałkańskiej łamigłówce.

Region jest więc w takim samym stopniu bogactwem, jak i zagrożeniem. Co do bogactw – nie ma powodu ich to przypominać.

Co do niebezpieczeństw, i owszem, trzeba wymienić: separatyzm kulturowy, etniczny, podatność na wpływ zagranicznych ośrodków oddziaływania i rozgrywania geopolitycznego, groźbę zapaści ekonomicznej, a z nią kulturowo-społecznej. Aż zdumiewa szermowanie hasłami cywilizacyjnego przyspieszenia w „Polsce B” (skąd ten język? kto powiedziałby Mickiewiczowi, że pochodzi z Polski C, czyli z Nowogródka, WXL, Czarnej Rusi?), a równocześnie projektowanie takich zmian w nauce, które zmarginalizują naukę w tym obszarze? Czy autostradami i liniami szybkiej kolei ma jeździć tylko inteligencja politechniczna, korporacyjna klasa średnia i robotnik XXI wieku? Zaspokojenie głodu, sytości zazwyczaj na krótko zaspokaja głębsze potrzeby człowieka: również te edukacyjne.

Zastanawiam się, jaki świat wyobrażeń stoi za projektodawcami centralistycznych „reform”. Jest to świat anachroniczny, przednowoczesny. Po pierwsze, między centrum a regionem, regionem a światem nie ma dziś barier komunikacyjnych (mówię to jako praktyk takiej komunikacji). Centrum jest więc tam wszędzie, gdzie jest człowiek tworzący nowe idee, wydający ważne książki, brawurowo interpretujący świat – a nie tam, gdzie jest ministerstwo i duży, niezreformowany moloch naukowy.

Świat, po wtóre, naprawdę interesuje to, co specyficzne, a nie to, co powszechne: a więc Polska z jej kulturą, jej osobistościami i osobnościami, a nie Polska jako częśćka wszędzie tych samych i takich samych procesów. Świat interesują też regiony – z ich kulturą. Mamy tu atuty (o dziwo!) niesamowite jako cywilizacja wciśnięta między mocarstwowe Niemcy i Rosję – a ich pogranicza, granice, sąsiedztwa intrygują świat w sposób zasadniczy. Nikt w Polsce nie będzie szukał natomiast tego, co w lepszym wydaniu znajdzie w Brukseli, Londynie i Waszyngtonie.

³ Zob. W. Konończuk, *Program ukraińskiej „Kultury” – etap, a nie koniec historii*, „Nowa Europa Wschodnia” 6/2018, s. 21-28.

Konkretny przykład: ważą się losy kultury, języka, narodu i państwa białoruskiego – to zajmuje dziś (w grudniu 2018 roku) wszystkich polityków, strategów, slawistów i ekonomistów na świecie (potencjalny kryzys związany z „wchłonięciem” Białorusi przez Federację Rosyjską miałby skutki globalne: gospodarcze, polityczne, militarne).

Co mamy na ten temat do powiedzenia? Co myślą polscy analitycy z Warszawy, PISM, Wrocławia, a szczególnie z Białegostoku, gdzie żyje wielka mniejszość białoruska, prawosławna, ukraińska, litewska, nawet rosyjska? Dlaczego nie można uruchomić elitarnych, na najwyższym poziomie studiów białorutenistycznych w tym mieście? Nie, to nie tylko dlatego ich nie ma, że mniejszość białoruska nie chce studiować na tym „bezperspektywicznym” kierunku (skoro prawie nikt na Białorusi nie mówi po białorusku, a wszyscy po rosyjsku, to po co miano by się uczyć ginącego języka? – jest to, niestety, przekonujący paralogizm). Nie dlatego, że powierzając samej mniejszości badania nad swą kulturą doprowadzilibyśmy do rażącego obniżenia poziomu badań i upolitycznienia subdyscypliny w skali niebezpiecznej dla państwa. Nie ma ich, bo nikt nie zabezpieczył tego kierunku badań z myślą o społeczeństwie i jego państwie. Toż samo można by napisać o stanie innych „przygranicznych” filologii w RP, może prócz niemieckiej. Likwidacja przez „ewaluacyjne” uśpienie tych ośrodków lub ich centralistyczne przeniesienie do Warszawy lub Krakowa niczego nie zmieniają, odwołają tylko agonię. Fundamentalnie niezbędne są silne, regionalne (w sensie europejskich regionów, a nie prowincjonalności) ośrodki takich badań humanistycznych.

Jeszcze coś: o ile znam świat i nasz kraj, od zawsze to, co najlepsze poza centrum, było przyciągane do tegoż centrum. Najlepsi naukowcy, pracując u siebie, „w regionie”, stanowią zarazem elitę powszechną: krajową, europejską, światową. Skąd po „uśpieniu” humanistyk regionalnych centrum będzie brało tych najlepszych? Samo ich wykształci? Powieli? Takich samych jak ono? Jaki to lęk stoi za antyhumanistycznym projektem? Czy taki, jaki wysłowił jeden z polsko-amerykańskich, politycznie zaangażowanych profesorów, dając *sub specie* stanu uczelni amerykańskich, jego zdaniem tylko lewicowych, rady elitom politycznym polskim: „A dlaczego niektóre elity nadwiślańskie myślą Amerykę z Hollywood i Madison Avenue? Dlaczego chcą klonować nad Wisłą wydziały humanistyczne i nauk społecznych, a nie inżynierii i medycyny z amerykańskich uniwersytetów? To przecież są źródła chorób drążących USA”⁴.

⁴ J.M. Chodakiewicz, *Warszawa musi rozwinąć potencjał nuklearny*, rozmawiał M. Pieczyński, „Do Rzeczy” 2019, nr 1/304, s. 33. Zdumiewa też tytułowe wezwanie badacza.

Ale to demagogia; my tu, w Europie, Polsce, mamy inne choroby i inne zagrożenia.

Niczego w naszych warunkach nie da się skłoniwać – ani tych >strasznych< wydziałów humanistycznych, ani >pięknych< wydziałów inżynierii. Nie można niczego naśladować bezmyślnie. Tymczasem słyszę od lat hasło, by nauka w Polsce „była jak na Zachodzie”.

Jeśli chodzi o filologię, komparatystykę, slawistykę, to nikomu nie życzę, by gdziekolwiek „było jak na Zachodzie”. Naukowcy z tych krajów – niektórych z nich, humanistów, coraz częściej zatrudniamy u nas – dyskretnie opowiadają o losie swym i kolegów. Ci, którzy współpracowali lub bodaj chcieli współpracować ze szczątkowo reprezentowanymi przedstawicielami innych niż rusycystyka specjalności, mieliby wiele niemiłych rzeczy do opowiedzenia.

Nie chcemy humanistyki takiej „jak na Zachodzie”, bo jako społeczność polskiej humanistyki jesteśmy po prostu tym innym, słowiańskim Zachodem, na który „stary” Zachód patrzy paternalistycznie, ale i z fascynacją. Mamy inne miejsce na mapie i w historii, a tym samym problemy nieporównywalne z Francją, Szwajcarią czy Wielką Brytanią.

Humanista, oczywista, powinien się zastanawiać nad konsekwencjami odkrycia życia w kosmosie, spotkania z Innym, ale jeszcze pilniej humanista z Polski musi się zastanawiać nad konsekwencjami spotkania z Rosjaninem czy Ukraińcem. I nad tym, gdzie ich spotyka: już u siebie czy za granicą.

Jedna z naszych koleżanek z Francji zadała kiedyś na sesji slawistycznej w Białymstoku pytanie, które przeszło do historii lokalnej wspólnoty humanistów. Ponieważ sama była slawistką, zapytała zupełnie szczerze, otwarcie: „Dlaczego ci Ukraińcy nie chcą mówić po rosyjsku? Przecież wszyscy byśmy się wtedy rozumieli?!⁵ To jest ta różnica między różnymi Zachodami tej samej Europy. Europy, której częścią są też Wschód, Północ i Południe. Jakie bogactwo, jak to przemyśleć, ująć, opisać...?”

Wracam do pytań zasadniczych: Dlaczego ci niepokorni obywatele państwa polskiego z Białegostoku nie chcą uprawiać nauki w Warszawie? Po co im uniwersytet, przecież wszyscy bylibyśmy w jednym miejscu? Ale jeśli nikogo nie przekonałem dotąd, już nie przekonam. Jako badacz tekstów i zjawisk społecznych muszę uwzględniać perspektywy odbioru. Uwzględniwszy ją, wiem, że zawsze doraźny interes polityczny „reformatorów” przeważa nad

⁵ Badaczka ta nie tylko nie wiedziała o Ukrainie, lecz nie była też świadoma, że na ogromnym obszarze państwa ukraińskiego mówi się na co dzień po rosyjsku.

długofalowym interesem państwa, społeczeństwa, narodu, którymi to licznymi szermują zazwyczaj bez szacunku dla tych słów. Skoro nie wysłuchano żadnego apelu przez trzy lata o powstrzymanie tych zmian, to jest niemożliwe, by wysłuchano kogokolwiek.

A może się mylę...

Strategia *versus* polityka

Coraz częściej słyszymy bowiem zapewnienia, że „reforma”, „konstytucja dla nauki”, „ustawa 2.0” nie są wymierzone w „małe”, „prowincjonalne uczelnie”. Przeciwnie: mają je wesprzeć, a nawet podnieść ich poziom naukowo-dydaktyczny. Tymczasem ośrodki stołeczne, centralne – czyli „wiodące” – mają osiągnąć poziom „światowy”, mierzony „miejscem w rankingu”. Celowo nadużywam cudzysłowów, bo nie chcę brać odpowiedzialności za treści, które się kryją za tymi słowami i wyrażeniami. A co się kryje? Jeśli „światowe” mają być „centrale” („wiodące”), to jakie mają być te „prowincjonalne”? Nieświatowe? Jaki wzorzec nauki mają kultywować: zapóźnionej, ograniczonej do swego poletka? Po co nam takie ośrodki niecentralne, czytaj: drugorzędne?

Pracuję w Katedrze, która od lat organizuje współpracę z ośrodkami w Kijowie, Odessie, Mińsku, Grodnie, Wilnie (i innymi). Proponowane szczegóły „reform” odbierają nam wszelkie argumenty za utrzymywaniem współpracy z tymi krajami, którą tak, sądząc po wynikach, zaczęliśmy rozwijać, bo jesteśmy blisko geograficznie, ale i kulturowo europejskiego Wschodu. W krajach tych nie ma humanistycznych czasopism z listy Scopusa i nie będzie nigdy (pojedyncze może się znajdą). Nasze czasopisma praktycznie znikną po ogłoszeniu list ministerialnych (bo nie są w Scopusie, a dofinansowania nie dostaną). Za pracę w tym trudnym obszarze (społecznie, politycznie, itd.) nie przewidziano ani punktów, ani żadnych innych gratyfikacji. Wydawane przez nas – i inne ośrodki – utrwalone dobra kultury polskiej z terenów Wielkiego Księstwa Litewskiego i dawnej Rzeczypospolitej będą nisko punktowane jako „tylko” edycje krytyczne (ktoś chyba, by użyć kolokwializmów, stracił zdolność myślenia, projektując takie pomysły!). Dodam, że prace te są wydawane w ramach tak prestiżowych grantów jak NPRH, po wieloetapowej pracy i długiej procedurze recenzyjnej.

System wydawania książek tylko w określonych miejscach i – co za tym idzie – przez określonych (zazwyczaj z pozycją i politycznie poprawnych)

badaczy doskonale znamy z krajów autorytarnych bądź półdemokratycznych. Trudno pojąć, dlaczego mam swoją książkę wydać nie za 10 tysięcy zł w konkurencyjnym wydawnictwie, lecz wozić ją „po punkty” do dużego ośrodka za 30 i więcej tysięcy? Przecież to ma znamiona korupcji, jest korupcjogenne i łamie poczucie nie tylko sprawiedliwości, ale i rozsądku. A przecież wystarczyłoby zaostrzyć wymagania recenzenckie⁶, jeśli już coś musi być zrobione z mocy postanowienia, że jednak „reforma” będzie. I tak mógłbym długo wyliczać... Powinienem zamknąć stworzoną przez siebie Katedrę Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” i poszukać pracy w dużym, „wiodącym” ośrodku lub wyjechać za granicę. Tego nie zrobię, to jasne.

Uczelnie, sieć uczelni, wydają się solą dobrze działającego organizmu państwowego, który musi trwać i przetrwać w określonym miejscu na mapie. Trwać z humanistami i przetrwać dzięki nim także. Powinny to być ośrodki o takich samych szansach i prawach do aspirowania do mądrze (a nie „rankingowo”) rozumianej światowości: prowadzić badania podstawowe o wymiarze uniwersalnym, lecz też w równym stopniu rozpoznawać środowisko regionów, krajów i kultur, które nas otaczają i które my otaczamy.

W takich badaniach potrzebna jest interdyscyplinarność, a nie konieczność sztucznego dobierania do etatu jednej dyscypliny naukowej. Na przykład, by nie szukać daleko, pracując w krajach Europy Środkowo-Wschodniej nie sposób być tylko wąsko wyspecjalizowanym lingwistą lub literaturoznawcą, historykiem jednej epoki – trzeba być naraz kulturoznawcą, socjologiem, religioznawcą, historykiem o szerokim horyzoncie, sławistą i filozofem. Inaczej niewiele się z tej rzeczywistości zrozumie, a przede wszystkim nie zostanie się przez nią zaakceptowanym (nie liczę, co naturalne, jednorazowych wypadów „do Mińska”, „do Kijowa”).

Od 1992 roku, kiedy zaczynałem pracę naukową jako młodszy asystent, do chwili obecnej pracuję w tym samym ośrodku, w Białymstoku, z powodzeniem chyba zajmując się działalnością naukową w skali nie tylko krajowej. Mam tu dobre warunki pracy. Nie widzę żadnego powodu, dla którego swe ambicje miałbym realizować poza tym miejscem, gdzie nie czuję się ani „prowinjonalny”, ani wyrzucony poza „światowe rankingi”. Wiem, że podobnie

⁶ Zgłoszono prosty pomysł: stworzyć bazę powszechnie dostępnych recenzji naukowych książek. Proponowano dla każdej książki obowiązek udokumentowania dwu pozytywnych recenzji zewnętrznych. (Czy jedna to mało? Ale solidna, gruntowna?) Zwyciężyły jednak pomysły listy wydawnictw i czasopism, z których to pomysłów ktoś prędzej czy później będzie musiał się wycofać.

myśli wielu kolegów z Zielonej Góry, Opola, Olsztyna, Rzeszowa, Częstochowy i Kielc.

Pozostaje mi wyrazić nadzieję, że zdrowy rozsądek i myślenie o nauce, kulturze i państwie nie w kategoriach doraźnego interesu politycznego, lecz długofalowej strategii, wykiełkuje w końcu w „centralnych” elitach państwa i jego uniwersytetów.

Jeśli jednak z natury mają być one najlepsze i światowe, elity i uniwersytety, to dlaczego to kiełkowanie prostej myśli trwa w wiodących ośrodkach – tak długo? Od 1989 roku – to już prawie trzydzieści lat. Za długo, doprawdy!

Bibliografia

- Bartosiak J., *Rzeczpospolita między lądem a morzem. O wojnie i pokoju*, Warszawa 2018.
- Białostockie środowisko filologiczne 1968-2018. *Historia w 45 wywiadach*, rozmawiał D. Sołowiej, red. i wstęp J. Ławski, Białystok 2018.
- Chodakiewicz J.M., *Warszawa musi rozwinąć potencjał nuklearny*, rozmawiał M. Pieczyński, „Do Rzeczy” 2019, nr 1/304.
- Herbaczewski J.A., *Eksperymantomania, czyli neo-hamletyzm (Stanisław Wyspiański)*, w: tegoż, *I nie wódź nas na pokuszenie... Szkicowane wizjerunki dusz współcześnie wybitnych na tle myśli dziejowej*, Kraków 1911.
- Idea uniwersytetu. Reaktywacja*, red. P. Sztompka, K. Matuszek, wyd. 2, Kraków 2015.
- Jaspers K., *Idea uniwersytetu*, przeł. W. Kunicki, Warszawa 2017.
- Konończuk W., *Program ukraińskiej „Kultury” – etap, a nie koniec historii*, „Nowa Europa Wschodnia” 6/2018.
- Ławski J., *Bezradność. Nauka – student – uniwersytet*, w: *Przyszłość polonistyki. Koncepcje – rewizje – przemiany*, red. A. Dziadek, K. Kłosiński, F. Mazurkiewicz, Katowice 2013.
- Pogranicza, Kresy, Wschód a idee Europy*, Seria I: *Prace dedykowane Profesorowi Świetlanowi Musijenko*; Seria II: *Wiktor Choriew in memoriam*, idea i wstęp J. Ławski, red. A. Janicka, G. Kowalski, Ł. Zabielski, Białystok 2013.
- Readings B., *Uniwersytet w ruinie*, red. S. Stecko, Warszawa 2017.
- Spółczesność polska dziś. Samoświadomość, uznanie, edukacja*, red. M. Saganian, M. Werner, M. Woźniewska-Działak, Ł. Kucharczyk, Warszawa 2018.
- Uniwersytet XXI wieku. Nauka i lokalność. Studia*, red. J. Ławski, K.K. Pili-chiewicz, Białystok 2018.